

DR CHAUNCEY CRANDALL
WRAZ Z KRIS BEARSS

ŚMIERĆ NIE ISTNIEJE

Spotkania kardiologa
z niewytłumaczalnym
i dowody
na życie po życiu

FRONDA

ŚMIERĆ NIE ISTNIEJE

[Kup książkę](#)

DR CHAUNCEY CRANDALL

WRAZ Z KRIS BEARSS

ŚMIERĆ NIE ISTNIEJE

Spotkania kardiologa
z niewytłumaczalnym
i dowody
na życie po życiu

Tłumaczenie z języka angielskiego

Grażyna Waluga

FRONDA

[Kup książkę](#)

Tytuł oryginału:
Chauncey Crandall with Kris Bearss, TOUCHING HEAVEN

Projekt okładki: Fahrenheit 451

Dyrektor projektów wydawniczych:
Maciej Marchewicz

Tłumaczenie:
Grażyna Waluga

Redakcja i korekta:
Małgorzata Terlikowska

Skład i łamanie:
PanDawer

Copyright © for the Polish edition and translation by Fronda PL,
Warszawa 2016

This edition published by arrangements with FaithWords, New York, New York, USA. All rights reserved.

ISBN 978-83-8079-037-7

Wydawca:
Frona PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofrona.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo
https://twitter.com/Wyd_Frona

Spis treści

WPROWADZENIE	7
PROLOG	13
 CZĘŚĆ I. DOWODY ŻYCIA	19
ROZDZIAŁ 1	
Więcej niż się wydaje	21
ROZDZIAŁ 237	
Spójrz ku światłu	37
ROZDZIAŁ 3	
Zatracać religię	51
ROZDZIAŁ 4	
W polu widzenia nieba	67
ROZDZIAŁ 5	
Ćwiczenie obecności nieba	85
ROZDZIAŁ 6	
Ogień z nieba	103
ROZDZIAŁ 7	
Dwa królestwa	121
ROZDZIAŁ 8	
Moc zmartwychwstania	141
 CZĘŚĆ II. PRAWDA O NIEBIE I ŻYCIU PO ŚMIERCI	157
ROZDZIAŁ 9	
Prawdziwy świat rzeczywisty	159

ROZDZIAŁ 10	
Miejsce jak żadne inne	181
ROZDZIAŁ 11	
Przemiana na zawsze	199
CZĘŚĆ III. PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE.	211
ROZDZIAŁ 12	
Żywa nadzieja	213
ROZDZIAŁ 13	
Niebiańska pociecha	233
ROZDZIAŁ 14	
Wszystko nowe	249
ROZDZIAŁ 15	
Na ziemi jako i w niebie	269
EPILOG	
Królestwo niebieskie się zbliża	285
PODZIĘKOWANIA	289

WPROWADZENIE

Spotkanie z niebem

Moje pierwsze spotkanie z rzeczywistością nieba wcale nie wyglądało tak, jak się czyta w książkach o doświadczeniu śmierci. Właściwie to byłem nie tylko bardzo żywy, ale i świetnie się czułem – energiczny dziewiętnastolatek zatrudniony w charakterze sanitariusza w znanym szpitalu w północnej Wirginii, przed podjęciem studiów medycznych.

Ponieważ szpital mieścił się tuż przy granicy ze stanem Waszyngton DC, wśród jego pacjentów znajdowali się politycy, naukowcy, urzędnicy rządowi i personel wojskowy. Z radością wykonywałem swoje codzienne obowiązki: pobierałem krew, pchałem wózki inwalidzkie i sprzątałem szpitalne sale, ale też uczestniczyłem w obchodzie z lekarzami i pielęgniarkami. I właśnie tak poznałem Karla. Był już dobrze po sześćdziesiątce, weteran II wojny światowej, w czasie której walczył z nieprzyjacielem

w szeregach wojsk sprzymierzonych. W naszym szpitalu, którego był pacjentem przez niemal miesiąc, nadal prowadził wojnę, tym razem jednak z innym wrogiem: rakiem pęcherza.

Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, był pełen życia. I sądząc po jego życzliwości oraz wielu ciekawych historiach, wiedziałem, że jest dobrym człowiekiem, który wiódł dobre życie. Instynktownie poczułem do niego ogromną sympatię. Nie wiedziałem jednak, że Karl umiera.

Często zatrzymywałem się w jego sali, aby posłuchać wojennych opowieści i czerpać z jego mądrości. W tym samym czasie zastanawiałem się, w jakiej dziedzinie medycznej się specjalizować. Pragnąc zapoznać się nieco z innymi działami medycyny, powiedziałem pewnego dnia do szefa laboratorium patologii klinicznej: „Chciałbym obserwować pana następną sekcję”.

Telefon zadzwonił pewnego pięknego sobotniego poranka. Porzuciwszy rozświetlony słońcem na błękitnym niebie Fairfax, udałem się do laboratorium mieszczącego się w piwnicy szpitala. Kiedy starannie wymyłem ręce i założyłem specjalny strój ochronny, pchnąłem metalowe drzwi i wszedłem do środka. Na metalowym stole w tym zimnym, szarym pomieszczeniu leżało ciało – z otwartą klatką piersiową i rozpostartymi ramionami, jak na krzyżu. Wszystkie zmysły miałem w tej chwili napięte i wyostrzone do granic możliwości. Była to ta strojna medycyny, ludzkich doświadczeń, która do tej pory została mi oszczędzona.

Gdy podszedłem do stołu, zobaczyłem martwą twarz przynależącą do tej ludzkiej powłoki... i od razu poczułem przyływ mdłości.

„Co się stało?” – zapytał patolog.

„Znam tego człowieka – powiedziałem, cały się trzęsąc. – Muszę wyjść”.

Pospieszenie wybiegłem z laboratorium, a wyraźny zapach śmierci towarzyszył każdemu mojemu krokowi. W mojej głowie szalały myśli.

Przypomniałem sobie rozmowy z Karlem. Żył, kiedy widziałem go po raz ostatni kilka dni temu – jego serce biło, pompując życiodajną krew do żył, siedział, oddychał, rozmawiał. W czasie naszych rozmów opowiadał o odwadze na polu bitwy i strachu w okopach. Był łagodnym żołnierzem, w cywilu domatorem. Dobrym człowiekiem. Teraz zaś, przynajmniej tak to widziałem, był nie tylko martwy, ale też pozbawiony tego wszystkiego, co było *nim*.

Naiwny dzieciak, który wszedł do sali sekcyjnej, stanął nagle oko w oko z pytaniem domagającym się odpowiedzi. W mojej głowie rodziły się słowa, które wyleciały przez usta w postaci desperackiego, wściekłego okrzyku: „I to już *wszystko?*”.

Stałem w korytarzu, poruszony emocjonalnie do bólu, do nudności w żołądku. Serce waliło mi jak młotem. Ten pozór jałowości i ostateczności wszystkiego, co robimy w tym życiu, zdawał się otaczać mnie jak gęsta mgła. W tamtej chwili tego sobotniego poranka jedyne, o czym mogłem myśleć, to mój miły przyjaciel – niegdyś żołnierz odznaczony za odwagę, z kochającą rodziną, a teraz

martwa powłoka na metalowym blacie w pomieszczeniu, do którego słońce nigdy nie zagląda. Śmierć zdawała się taka ostateczna, taka straszna i niegodziwa – i byłem nią przerażony.

Postanowiłem, że nigdy więcej nie będę brał udziału w sekcji zwłok.

Doszedłem również do wniosku, że nienawidzę śmierci i poświęcę się walce z nią ze wszystkich sił. Być może właśnie dlatego zostałem kardiologiem: zdrowe serce jest przeciwieństwem śmierci, zdrowe serce oznacza, że jest jeszcze nadzieja. Dopóki bije twoje serce, nie znajdziesz się w chłodni, oczekując na sekcję. Dopóki na twoim elektrokardiogramie nie ma linii prostej, nie nadszedł jeszcze twój kres.

Jednak moje postanowienie, że będę zapobiegał śmierci i promował zdrowie, nie zmieniło obiektywnie istniejącej rzeczywistości, w obliczu której stanąłem w sali sekcyjnej. Nie chodziło przecież o pytanie fizyczne, lecz metafizyczne – problem duchowy, który wdzierał się aż do głębi mego serca: musiałem zadecydować, czy życie to coś więcej niż tylko to życie, czy też nie. Czy istnieje królestwo niebieskie i życie poza tym ziemskim? I jeśli to prawda, co oznacza to dla mojego czasu na ziemi?

To decyzja, którą musimy podjąć wszyscy.

Znajdowałem argumenty dla tej odpowiedzi zarówno w czasie pracy w kraju, w Stanach Zjednoczonych, jak i podczas opieki nad chorymi na duchowych polach walki Trzeciego Świata. Kiedy siedziałem przy umierających i stałem nad tymi, którzy byli jak martwi – a jednak żyli.

Widziałem dowody na to życie nawet wtedy, gdy straciłem własnego syna.

Odpowiedź zmieniła sposób, w jaki oddawałem się medycynie, a w przyszłości zmieniła też *mnie*.

Oto historie, które pomogły mi zrozumieć serce – i rzeczywistość nieba.

PROLOG

Potrzeba dowodów

W ciągu roku od czasu tej autopsji stałem się chrześcijaninem. Wkrótce potem rozpocząłem studia w szkole medycznej. Moja nowo odnaleziona wiara nie wykorzeniła ze mnie potrzeby twardych dowodów na życie po śmierci oraz wątpliwości, czy życie doczesne to jedyne życie, jakie jest nam dane.

Studiując medycynę, uczyłem się interpretować rzeczywistość wyłącznie w kategoriach świata fizycznego i materialnego. Jednak do czasu, gdy jeden z moich synów bliźniaków śmiertelnie zachorował. Widziałem już wystarczająco wiele, aby nabrać przekonania o istnieniu większej rzeczywistości niż ta, jaka dostępna jest naszym oczom. Moje doświadczenia w zakresie medycyny – jestem lekarzem już od czterech dziesięcioleci – posłużyły jedynie do potwierdzenia tej pewności.

Dotychczas wszystkie te dowody zachowywałem w większości dla siebie; ostatecznie jestem lekarzem, a nie kapelanem. Ale usłyszałem już tyle opowieści o tym, co skrywa się za zasłoną ziemskiego życia, że czuję się zmuszony podzielić się nimi.

Wiem, że inni już to zrobili w taki czy inny sposób. Opowiadali osobiste doświadczenia o tym, co dzieje się z nami po naszej śmierci. Moja opowieść różni się tym, że w czasie mojej pracy jestem świadkiem dowodów na istnienie drugiego królestwa przez cały czas; każdego dnia życie teraźniejsze daje nam wgląd w kolejne. Te migawki – zebrane z opowieści moich pacjentów i moich własnych doświadczeń – są właśnie tym, czym chcę się z tobą podzielić.

Widziałem wskrzeszonych z martwych. Dosłownie.

Słuchałem opowieści martwych kobiet i mężczyzn opowiedzianych przez nich samych, gdy wrócili znad krawędzi.

Byłem świadkiem przypadków zdumiewającego wyleczenia i niemożliwego powrotu do życia.

Przeżyłem ten święty moment, nawet z własnym synem, kiedy życie przechodzi z tego świata do następnego. (Jedna z pielęgniarek dobrze to ujęła: „Niekiedy czuje się, że dusza ludzka opuszcza pokój”.)

Byłem świadkiem zarówno spokojnego odejścia z tego świata ludzi pewnych, że niebo istnieje, jak i czasem pełnych przerażenia przejść tych, którzy z tej pewności sztydzieli.

Jeśli o mnie chodzi, to przestałem już kwestionować jego istnienie. Po tym wszystkim, co widziałem, niebo jest

dla mnie bardziej namacalne niż kiedykolwiek wcześniej. To znaczące, ponieważ jeśli twoje zmysły są bombardowane szczegółami ludzkiego cierpienia tak jak moje – gdy osobiście widzisz, jak groźne potrafią być ataki choroby na ludzkie ciało – naturalne są wątpliwości. Sekcja zwłok Karla wstrząsnęła mną i wywołała rozpaczliwe pytania. W tamtym czasie nie rozumiałem, co się dzieje, kiedy razem z codzienną porcją cierpienia dostajesz systematyczne, bezpośrednie wejrzenie w niebo... i widok na Boga, który nas kocha i pragnie uzdrowić.

Ten zastrzyk wieczności w teraźniejszość może obudzić zmieniającą wszystko nadzieję, pomimo niekiedy bardzo bolesnych okoliczności. To jest to, co Biblia nazywa „pokojem (...) który przewyższa wszelki umysł” (Flp 4,7)¹. To kolejny dowód na istnienie nieba, którego nie mogę pominąć.

Są też inne, takie jak medyczne wyniki i osobiste przemiany, których byłem świadkiem, a które przypisać można jedynie cudom. To wszystko wzbudziło we mnie niezachwianą wiarę i bardziej niż kiedykolwiek wcześniej postrzegam ten świat jako salę przedoperacyjną, w której przygotowywani jesteśmy na prawdziwe uzdrowienie w przyszłości. Pismo Święte obiecuje, że Jezus przygotował miejsce dla wszystkich, którzy zawołają Jego imię.

Kiedy uchyli się zasłona życia doczesnego na dostatecznie długi czas, abyśmy mogli dostrzec, co nas czeka,

¹ Wszystkie cytaty z Biblii podane zostały za internetową wersją Biblii Tysiąclecia – Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Księży Pallotynów, Biblia Tysiąclecia Online, Poznań 2003 (przyp. tłum.).

to odkrycie otwiera nam oczy i wpływa na nasze wybory, zmieniając nasze życie. I tak właśnie było ze mną.

Kiedy wyszedłem poza mury szpitala i przemierzałem świat, stałem się świadkiem przenikania się świata fizycznego ze światem duchowym w bardziej jeszcze dramatyczny sposób. Te dwa światy nakładają się na siebie przez cały czas, ale kiedy jesteśmy w znajomym otoczeniu, często tego nie dostrzegamy. Oba światy są realne, tak jak z pewnością realny jest Bóg. I z powodu tej realności wiem, że życie nie kończy się tutaj.

To podróż, którą najpierw odbywałem w sferze intelektualnej jako naukowiec, ale potem na poziomie bardzo osobistym jako mężczyzna i ojciec. To podróż, która czeka i ciebie. Moim pragnieniem jest, aby ta książka pomogła ci wyciągnąć właściwe wnioski – ponieważ to naprawdę sprawa życia i śmierci.

Jako pierwszy przyznam, że wiele rzeczy po drugiej stronie pozostanie tajemnicą, dopóki tam nie przejdziemy. Boskie działania i myśli są tak dalekie od człowieczych, iż nie będę nawet udawał, że znam wszystkie odpowiedzi. Ale wskazówki cały czas się kumulują, jest ich coraz więcej, i nie tylko w tym, czego doświadczam, ale i w Jego świetle – i wszystkie wspólnie działają na rzecz odparcia kłamstw zła, odrzucenia błędnych przekonań na temat Boga i nieba oraz umocnienia obietnicy życia wiecznego dla wszystkich, którzy je wybiorą.

Im bardziej pewni jesteśmy Boga i rzeczywistości istniejącej poza tym światem, tym lepiej włączymy się do walki, starając się ulżyć cierpieniom zarówno chorych,

jak i cierpiącym grzesznym duszom. Z powodu nadziei na życie wieczne każdy Boży syn i córka może wnieść światło w ciemności, a życie w śmierć – nie tylko ja jako lekarz. A ponieważ niebo istnieje i Bóg jest realny, mamy pełne prawo głosić chwałę Jezusa jako Pana i Króla. I to nie kiedyś tam, w przyszłości, gdy znajdziemy się w niebie, ale także tutaj i teraz, w tym życiu.

Kiedy Jezus modlił się: „Ojcze (...) w niebie, (...) Niech przyjdzie królestwo Twoje; niech Twoja wola spełnia się na ziemi, tak jak i w niebie” (Mt 6,9-10), nie zbywał nas słodką obietnicą; wierzę, że to zawołanie bojowe wszystkich tych, którzy nazywają Go Panem i Zbawcą. Mamy iść na wojnę na tej ziemi i z tą prawdą na ustach: możemy mieć nadzieję, bo niebo istnieje.

A teraz pokażę ci, co mnie przekonało...

CZĘŚĆ I

DOWODY ŻYCIA

ROZDZIAŁ 1

Więcej niż się wydaje

„Dlaczego ściągnąłeś mnie z powrotem?” Szare oczy Gary’ego były szeroko otwarte, widać w nich było desperację, a jego nieogolona twarz była czerwona ze złości.

Można by pomyśleć, że miałem pewną przewagę nad budzącym się po operacji chirurgicznej pacjentem w szpitalnej piżamie, ale nie byłem w stanie się ruszyć – ów krzepki weteran wojny w Wietnamie podniósł mnie za kołnierz na korytarzu, wypadłszy na mój widok ze swojej sali jak olbrzym z lasu.

W takich chwilach jak ta zastanawiałem się, co mną kierowało, kiedy postanowiłem zostać lekarzem. A jednak dorastałem przekonany, że medycyna to moja przyszłość. Nie tylko dlatego, że cechowała mnie naturalna ciekawość i lubiłem pomagać ludziom, ale też i dlatego, że zawsze pociągała mnie nauka i jej racjonalizm. Jednak w tym momencie nie pomogłoby mi żadne rozumowanie, gdyby ten przywódca gangu, niemal dwumetrowy

olbrzym z ciałem pokrytym tatuażami, zechciał przepchnąć mnie przez ścianę do sali obok.

„Po co ściągnąłeś mnie z powrotem?” – krzyczał.

Byłem tak oszołomiony, że zdołałem jedynie niewyraźnie wymamrotać: „Co ma pan na myśli?”.

Przez kilka sekund piorunował mnie wzrokiem, po czym powiedział stanowczo: „Było mi dobrze tam, gdzie byłem! Było dobrze!”.

Gdy rozluźnił uścisk i postawił mnie na podłodze, odważyłem się zadać jeszcze jedno pytanie: „Co ma pan na myśli?”.

Wiedziałem jedynie, że kilka dni wcześniej Gary, który nie miał jeszcze pięćdziesiątki i był prawdopodobną ofiarą tzw. czynnika pomarańczowego, został wwieziony na wózku do sali operacyjnej w Centrum Medycznym Hunter Holmes McGuire w Wirginii, na zabieg wprowadzenia balonu angioplastycznego do schorowanego serca. Najpierw włożyliśmy mu do serca cewnik. Potem, gdy chirurg ostrożnie wprowadzał balon, aby poszerzyć naczynie krwionośne w sercu Gary’ego, ono nieoczekiwanie przestało bić – na stole operacyjnym. Czym prędzej przygotowaliśmy defibrylator, aby przywrócić akcję serca, ale urządzenie nie zadziało. Pospiesznie naładowaliśmy je i spróbowaliśmy raz jeszcze... i nic. Po trzeciej próbie mieliśmy już pewność, że defibrylator nie działa, więc rozpoczęliśmy normalną reanimację, aby utrzymać go przy życiu, dopóki nie znajdziemy jakiegoś rozwiązania.

W ciągu tych szaleńczych minut liczba personelu medycznego w niewielkiej sali operacyjnej podwoiła się, dodatkowi

ludzie rzucili się nam z pomocą. Taka sytuacja awaryjna zawsze wymaga kontrolowanego chaosu wśród zespołu medycznego, ale tego dnia wszystko było bardziej chaotyczne niż zwykle: podczas gdy grupa lekarzy i pielęgniarek zajmowała się pacjentem, część personelu sprawdzała desperacko kolejne gniazdka elektryczne w sali z nadzieją, że może uda się uruchomić defibrylator. Kiedy ta nadzieja zawiodła, rzucili się na oddział kardiologiczny po urządzenie zastępcze. Tymczasem od ciała Gary'ego poodpadały elektrody EKG, a ktoś niechcący nadepnął na przewód kroplówki. Musiałem więc wczołgać się pod stół operacyjny, by ponownie ją podłączyć. W tej chwili przyniesiono pospiesznie nowy defibrylator i kiedy podłączyliśmy elektrody do klatki piersiowej Gary'ego i przeprowadziliśmy wstrząs, jego serce znów zaczęło normalnie bić.

Zazwyczaj przeżycie kolejnego dnia jest powodem do radości, a nie wściekłości. Ale kiedy Gary powiedział mi, czego doświadczył w czasie, gdy leżał na stole operacyjnym, zacząłem rozumieć jego agresywną reakcję. Zaczął: „Byłem poza swoim ciałem i patrzyłem w dół. Widziałem pana pod stołem...”. I dodał, że pomimo chaosu panującego w pomieszczeniu, ogarnął go błogi spokój. Spokój, którego nie chciał się pozbyć. Powrót do tego świata po tych kilku minutach nieziemskiego spokoju, po odnalezieniu doskonałej równowagi, wydał mu się męką.

Mogłem zbyć to jego przeżycie, twierdząc, iż „widział zbyt dużo telewizyjnych reportaży o doświadczeniach śmierci”, gdyby nie fakt, iż bez żadnego komentarza z mojej strony Gary szczegółowo opisał wszystkie działania,

jakie podejmowaliśmy, aby go ocalić, łącznie z awaryjną wymianą defibrylatora – wymianą, jakiej nie byłem nigdy świadkiem w całej swojej karierze lekarza. A fakt, iż wiedział, że szukałem czegoś na czworaka pod stołem... Nie byłby w stanie opowiedzieć wszystkiego tak dokładnie, gdyby w jakiś sposób nie widział tego na własne oczy.

Byłem zdumiony.

Wydarzenie to miało miejsce w czasie mojego ostatniego roku przed ukończeniem specjalizacji kardiologicznej i nie miałem pojęcia, jak je sobie wytłumaczyć. Czy był to znak od Boga dla lekarza, że po trudach i męczotach ziemskiej wędrówki tego człowieka czeka spokój po drugiej stronie życia? Czy dane mi było ujrzeć przez krótką chwilę spokój nieba pośród niepokojów życia ziemskiego? Mimo całego mojego wykształcenia i wykształcenia nie znałem odpowiedzi. Były tylko pytania.

Nauka czy wiara?

W ramach zawodowego rozwoju spędziłem trzy lata, studiując na wydziale chirurgii sercowo-naczyniowej w Wyższej Szkole Medycznej w Yale oraz na stypendiach w nowojorskich szpitalach Beth Israel i Mt. Sinai, a także w Szkole Medycznej w Wirginii. Obecnie jestem pracownikiem trzech szpitali w West Palm Beach na Florydzie. Upłynęło nieco czasu, zanim swoje wykształcenie zacząłem traktować z równą powagą, co inne zainteresowania.

Kiedy wreszcie na serio zabrałem się za naukę, zapisałem się na wstępne studia medyczne i antropologiczne

na Virginia Commonwealth University – przez cały czas podejmowałem różne prace dorywcze. Spotykałem się też ze swoją dziewczyną poznaną jeszcze w szkole średniej, Deborah. Nauka sprawiała mi przyjemność i na koniec dostałem czwórkę z plusem. Przygotowując się do studiów w szkole medycznej, zapisałem się na dodatkowe kursy na Uniwersytecie Georgetown oraz Uniwersytecie George’a Washingtona. Potem znalazłem pracę jako laborant na tym ostatnim, w nadziei, że to wszystko pomoże mi zrealizować marzenie o byciu lekarzem.

Trudno było chyba o bardziej obrzydliwe zajęcie, co potwierdzały nękające mnie co i rusz napady mdłości. Przez cały rok otaczała mnie śmierć. Dosłownie. I nieustannie towarzyszył mi zapach formaldehydu, nawet w czasie posiłków z dala od szpitala. Nie byłem w stanie jeść niektórych potraw, bo przywodziły mi na myśl laboratorium.

Moja praca polegała na przygotowywaniu wraz z wykładowcami okazów anatomicznych do sekcji dla studentów, a potem na sprzątaniu po zakończonych zajęciach. Oznaczało to, że nie tylko zajmowałem się ludzkimi ciałami i organami przekazywanymi przez kostnice i kliniki, lecz również starannie myłem i dezynfekowałem pomieszczenie oraz narzędzia chirurgiczne. Musiałem także preparować okazy do muzeum anatomicznego szkoły medycznej. Wycinałem i prezentowałem rozmaite części ciała. Umieszczałem je w specjalnych pojemnikach z pleksiglasu w taki sposób, aby studenci mogli porównywać je z podręcznikami.

Pewnego dnia mój szef, znany na całym świecie anatomic, wezwał mnie do siebie i polecił nadzorować transport przesyłki z innego szpitala w okręgu. Kiedy dotarłem do laboratorium, czekało mnie opróżnienie sześciu dwudziestolitrowych pojemników i przygotowanie ich zawartości na zbliżające się zajęcia. Ponieważ było to laboratorium anatomii topograficznej – badające rozmieszczenie i wzajemne relacje poszczególnych narządów i okolic ciała – spodziewałem się w tych pojemnikach zewnętrznych części ciała.

Byłem zupełnie nieprzygotowany na to, co zobaczyłem.

Po podniesieniu pierwszej pokrywy, mój wzrok zarejestrował płataninę maleńkich rączek i nóżek. W miarę jak podnosiłem kolejne wieka, ciśnienie mi rosło. To nie były amputowane kończyny!

W pojemnikach znajdowały się chyba setki płodów po aborcji, wiele z nich w pełni ukształtowanych, wyglądających jakby spały. Wiedziałem, że to oznacza, iż nie są wynikiem poronienia. Aż wstrzymałem oddech, kiedy układałem je na długiej stalowej tacy według wielkości i wieku ciążowego. Zapytałem też przełożonego, czy to nie jakaś pomyłka. Odpowiedział, że to typowa przesyłka z miejscowego oddziału szpitalnego dla kobiet i że te „okazy” potrzebne są na następne zajęcia z embriologii. Nie mogłem pozbyć się myśli, że są to wiadra pełne dzieci!... *Nie powinny być tutaj! Powinienem tulić je w ramionach, a nie wyciągać po kolei ze sterty martwych ciałek!*

Trudno jest uciec przed takimi obrazami. A jeszcze trudniej było mi pogodzić się z czymś takim. Przez

większość czasu prąd nauki porywał mnie w wygodny i naturalny sposób ze sobą, na studiach czułem się jak ryba w wodzie. Po czym nagle napotykałem na coś tak strasznego, czego nie mogłem ani wyjaśnić, ani zrozumieć – rzeczy, które tak bardzo raniły moje zmysły, że nie byłem nawet w stanie oddychać. Taką demaskację ciemnej strony medycyny – i skutków ludzkich wyborów – zawsze odczuwałem jako wir wciągający mnie w straszliwe i mętne odmęty. Niezależnie od tego, jak się starałem, nie byłem w stanie zracjonalizować tych martwych dzieci wyrzuconych jak śmiecie... ani mojego przyjaciela Karla na stole do autopsji.

Podobnie, gdy lepiej poznałem złożoność ludzkiego ciała, jakoś nie mogłem przyswoić sobie powszechnego rozumowania, że coś tak niezwykle precyzyjnego i skomplikowanego może powstać w wyniku eksplozji pierwotnych komórek. Dla mnie, wspaniałe podobieństwo każdej ludzkiej istoty – delikatna równowaga pomiędzy chemią, biologią, psychologią i anatomią, które składają się na ludzkie życie – zadaje kłam niepodważalnemu porządkowi, który wyklucza przypadek i poświadcza twórczy geniusz. Niemniej, będąc na początku swojej medycznej kariery, próbowałem ze wszystkich sił zneutralizować wstrząs wywołany przez niewyobrażalne, gdyż wydawało mi się, że lekarz musi myśleć w taki właśnie sposób.

W tamtym czasie sądziłem, że muszę wybrać jedną z dwóch dróg – albo naukę, albo wiarę, że obie nie mogą współegzystować. A ponieważ studiowałem medycynę, wybór wydawał się oczywisty. Jednak kiedy podążałem

drogą nauki, by znaleźć odpowiedzi na wszystkie dręczące mnie życiowe pytania, wpadałem co i rusz na kolejne przeszkody.

Gary.

Albo Karl.

Albo ciała dzieci po aborcji.

Przeszkody, których nie byłem w stanie przeskoczyć, ani obejść przy pomocy intelektu.

A im dłużej zajmowałem się medycyną, tym więcej doświadczałem rzeczy, które nie miały klinicznego wyjaśnienia – jak niemożliwe z medycznego punktu widzenia uzdrowienie albo potwierdzone szczegóły relacji pacjentów, którzy jak Gary opisywali swoje doświadczenia eksterioryzacji przeżyte poza ciałem. Od tego czasu nauczyłem się już, że lekarze często wypychają takie wydarzenia do mentalnego worka i patrzą, czy powtórzą się ponownie. Może podobna sytuacja się powtórzy, myślimy sobie – a wówczas, jak mamy nadzieję, możliwe będą jakieś naukowe odpowiedzi.

Wciąż jednak prześladowało mnie jedno – bezwzględność śmierci. Jak to możliwe, że w jednej chwili zaburza się cały porządek życia – i fizyczne funkcje człowieka przestają działać? Jak to możliwe, że żyjesz, a po chwili już nie? Wydawało mi się, że porządek jest prawdziwą naturą rzeczy i że w jakiś sposób po naszej śmierci musi zostać przywrócony, w przeciwnym bowiem razie cała niezwykła równowaga systemów na naszym fizycznym świecie byłaby na próżno. Jeśli taka skrupulatność jest znakiem naszych dni na ziemi, to musi mieć swój cel nie tylko w tym życiu, ale też i po tym życiu. A przynajmniej

do takiego doszedłem wniosku, gdy poszerzyły się moje medyczne horyzonty.

Królestwo pozazmysłowe

Ciągle byłem niedoświadczony, ale Deborah, którą poślubiłem w 1978 roku, widziała już, że powoli otwieram się na zrozumienie czegoś większego. Ją przekonało studiowanie Biblii i modlitwa, ale ja byłem przede wszystkim naukowcem. Musiałem najpierw zobaczyć dowód na istnienie nieba – wiele dowodów – zanim mogłem wyjść poza podstawową wiarę z czasów dzieciństwa.

Paradoksalnie, to właśnie nauka mnie przekonała. A raczej ograniczenia nauki. Nauka potrafiła wyjaśnić tylko to, czego doznawałem bezpośrednio; wszystkie pozostałe doświadczenia moich pacjentów dawały świadectwo jakiejś większej rzeczywistości: świata poza granicami naszego fizycznego poznania.

Zauważyłem, że umierający ludzie stale o tym mówili. Był kiedyś pewien człowiek na intensywnej terapii, który tuż przed śmiercią powtarzał: „Świątynia jest prawie gotowa. Świątynia jest prawie gotowa”. To samo mówili ci, którzy nieomal umarli. Jedna znana mi pani opowiadała o złotych ulicach, lśniących tak wspaniale, że aż nie mogła na nie patrzeć, wyłożonych kwiatami tak barwnymi, że nie dało się ich opisać. W oddali dostrzegła okazałe domy, a jeden z członków jej rodziny powiedział do niej: „Jeden z nich należy do ciebie”. Kiedy jednak zaczęła iść w tamtą stronę, usłyszała głos Pana: „Musisz już wracać”.

Teraz już nie boi się śmierci.

Kiedy po takim doświadczeniu ktoś przechodzi ze stanu strachu do stanu spokoju, trudno jest racjonalnie to wyjaśnić.

Były jeszcze inne znaki tej drugiej rzeczywistości. Kiedy umierał mój własny syn, w jego pokoju unosiła się dziwna biała mgła, która zniknęła w chwili, gdy wydał swoje ostatnie tchnienie. Oprócz mnie i mojej żony widziało ją więcej osób. (Od tego czasu widzieliśmy taką samą mgiełkę w pokojach dwóch innych wierzących osób na łożu śmierci.) Zauważyłem również, że chwila śmierci wywołuje u ludzi dwa ogólne rodzaje reakcji: strach, do którego zaliczają się też szok, udręka lub rozpacz... oraz spokój i ukojenie. Niemal nigdy nie zdarzają się reakcje pośrednie – zawsze przynależą do jednej lub drugiej skrajności, niezależnie od symptomów czy leczenia.

Co więcej, w czasie rozmów z misjonarzami i lekarzami na służbie w krajach Trzeciego Świata, opowiadają oni tyle historii o swoich dramatycznych doświadczeniach i mają na to tylu naocznych świadków, że trudno jest w ogóle podejmować jakąś polemikę. Spójność tych zupełnie niezależnych od siebie opowieści, w połączeniu z relacjami z pierwszej ręki, jakie usłyszałem z ust swoich pacjentów, oraz z moimi własnymi doświadczeniami, utwierdziły mnie jako naukowca w przekonaniu, że istnieje większe jeszcze i trwalsze królestwo niż nasze ziemskie – królestwo niebieskie, gdzie działają siły zarówno ciemności, jak i światła.

O siłach tych powiem dokładniej w kolejnym rozdziale, tu dodam tylko, że pojąłem najpierw, iż kiedy to

nadnaturalne, duchowe królestwo opada na nasze ziemskie, atmosfera w pomieszczeniu ulega zmianie, a nasz fizyczny świat – czasami nasza własna fizyczność – ulega zmianie. Jeśli jest to królestwo ciemności, to wywołuje chaos, agonię, zamęt, bezład. Jeśli to królestwo światła, to skutkiem jest spokój, i to niezależnie od tego, jak okropne są okoliczności towarzyszące.

Kiedy Jezus żył na ziemi, mówił o tym nadnaturalnym królestwie i naprawdę dołożył starań, aby opisać nam w szczególności naturę królestwa światła. Kiedy opowiadał o nim, posługując się przypowieściami, używał takich słów:

„Królestwo niebieskie podobne jest do...

- „człowieka, który posiał dobre nasienie na swej roli” (Mt 13,24);
- „zaczynu, który pewna kobieta wzięła i włożyła w trzy miary mąki, aż się wszystko zakwasiło” (Mt 13,33);
- „skarbu ukrytego w roli” (Mt 13,44);
- „kupca poszukującego pięknych pereł” (Mt 13,45);
- „sieci zarzuconej w morze i zagarniającej ryby wszelkiego rodzaju” (Mt 13,47);
- „króla, który chciał rozliczyć się ze swymi sługami” (Mt 18,23);
- „gospodarza, który wyszedł wczesnym rankiem, aby nająć robotników do swej winnicy” (Mt 20,1);
- „króla, który wyprawił ucztę weselną swemu synowi” (Mt 22,2);
- „dziesięciu panien, które wzięły swoje lampy i wyszły na spotkanie pana młodego” (Mt 25,1).

Kiedy zaś na jego temat wypowiadał się bardziej bezpośrednio, powiedział, że jest to miejsce...

- gdzie ani mól, ani rdza (ani rak) nie niszczą i gdzie złodzieje (ani ataki serca) nie włamują się, i nie kradną (Mt 6,20);
- gdzie najmniejszy na ziemi (dzieci, biedacy i opuszczeni) w królestwie niebieskim zostaną wywyższeni i będą najwięksi (Mt 11,11; 18,4,10,14);
- gdzie stół jest zawsze zastawiony (Mt 8,11);
- gdzie z trudem znajdzie się bogatych – nie dlatego, że niebo ma coś przeciwko nim, ale dlatego, iż bogaci tego świata są tak zaprzątnięci swoimi ziemskimi skarbami, że nie zwracają uwagi na skarby wieczne (Mt 19,23-24);

Przyznał również, że królestwo niebieskie posiada tajemnice, które poznać będzie dane tylko szczerze tego pragnącym (Mt 13,11) – ludziom posiadającym duchowe oczy szczęśliwe, że widzą, i uszy szczęśliwe, że słyszą.

Przez długi okres w moim życiu i zawodowej praktyce – dopóki mój syn nie zachorował na białaczkę – patrzyłem i słuchałem głównie oczami i uszami ziemskimi, stawiając ludzką wiedzę i rozum ponad wiarę i duchowe zrozumienie.

Ale choroba Chada odarła mnie z dumy i zniszczyła moją wiarę w to, co wydawało mi się, że wiem. Kiedy zacząłem spoglądać na to, co niewyjaśnione, z bardziej otwartym umysłem, to jakby otwarło się okno na niebo i nagle zacząłem dostrzegać to, co wcześniej zdawało się niewidzialne.

W owej chwili zrozumiałem, co Jezus miał na myśli, kiedy powiedział: „Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego” (Mt 18,3). Nie chodziło mu o dziecinne zachowanie, lecz o niepohamowaną ufność dziecięcej wiary. Taka wiara jest darem, a nie powodem potępienia. Nie dziwi więc fakt, iż zachęcał dzieci, aby do Niego przyszły: „Dopuszczcie dzieci i nie przeszkadzajcie im przyjść do Mnie; do takich bowiem należy królestwo niebieskie” (Mt 19,14).

Ale zrozumienie tego wszystkiego przyszło z czasem. Musiałem zacząć od tego, od czego zaczynamy wszyscy. Musiałem nauczyć się patrzeć nie tylko oczami w ciebie, oczami fizycznymi. Jedną z moich pacjentek, która mi w tym pomogła, była Michelle.

Nie przez widzenie

Kiedy po raz pierwszy spotkałem Michelle, miała dwa-
dzieścia lat i leżała na oddziale intensywnej opieki me-
dycznej, podłączona do respiratora, który za nią oddychał.
Szczelnie przykryta aż pod brodę, ze swoimi jasnymi wło-
sami i niebieskimi oczami wyglądała jak anioł. Dopiero
kiedy odchyliłem kołdrę z szyi, widać było, w jak okrop-
nym stanie znajduje się jej ciało: całe ramiona pokryte
miała strupami i siniakami po wstrzykiwanych lekach.
Kiedy przejrzałem historię jej choroby, przekonałem się,
że lista problemów była bardzo długa: jej ciało trawiły
infekcje, bo jej system odpornościowy zaatakowany był
przez HIV i zapalenie wątroby wskutek wieloletniego

uzależnienia od narkotyków. Była to bardzo, bardzo chora dziewczyna. Tak chora, że niektórzy z moich kolegów powiedzieli mi prywatnie: „Ona jest już martwa”.

Badanie, które przeprowadziłem, potwierdziło tę opinię – dla tej dziewczyny dramat życia już się zakończył. A moje medyczne doświadczenie całkowicie się z tym zgodziło: dziewczyna była umierająca.

I wtedy przypomniałem sobie doskonale mi znany cytat z Biblii: „Albowiem według wiary, a nie dzięki widzeniu postępujemy” (2 Kor 5,7) – i pod jego wpływem podjąłem nader nienaukową, ale bardzo mądrą decyzję: *kierując się wiarą, nie będę ufał temu, co widzą moje oczy, ale będę się modlił, aby przeżyła*. Zapodałem jej zatem najlepsze lekarstwo, modląc się za nią codziennie... i trzy tygodnie później ta „martwa dziewczyna” zaczęła samodzielnie oddychać. Trzy miesiące później opuściła szpital, a z czasem przeszła duchową przemianę, która była znacznie większa niż ta fizyczna.

A oto klucz: Pan daje nam wszystkim systematycznie wgląd w ten drugi świat poza doczesnym, ale czy patrzymy nań oczami duchowymi, czy też nie widzimy go fizycznymi? A kiedy go dostrzegamy, jak reagujemy? Czy odbieramy go jako zwykłą ciekawostkę i zbieg okoliczności, czy też przyjmujemy tę wiedzę, dajemy się przekonać i pod jej wpływem zmieniamy się?

Co do mnie, to dowody na istnienie świata pozaziemskiego wymuszały na mnie pytania, na które naprawdę musiałem znaleźć odpowiedzi, jeśli chciałem być tak dobrym lekarzem, jak to możliwe. Ale zadanie sobie tych

pytań zmusiło mnie do wyciągnięcia pewnych wniosków – zaś wnioski te uczyniły ze mnie lepszego męża i ojca.

Jaki jest cel precyzji i rzeczywistości naszego fizycznego świata? Czy życie po śmierci ma taką moc, że zatwardziały gangster może przeżyć doświadczenie życia po śmierci? Czy przyznam, że może istnieć coś poza światem i życiem doczesnym – a potem zbadam, czy istotnie jest ono tak dobre, pełne spokoju, światła i życia, jak twierdzą inni? Czy też będę zaprzeczać każdemu przejawowi niewidzialnego?

To były kolejne stopnie wiodące mnie do działania w świecie niebiańskim. Kiedy zaś dotarłem do końca swoich możliwości intelektualnych i dotychczasowych doświadczeń, pewnego dnia sięgnąłem do swoich doświadczeń z dzieciństwa i zacząłem się modlić: „Boże, potrzebuję Twojej pomocy w tej sprawie”.

To, co się później wydarzyło, nie przypominało porażenia piorunem, lecz powolne przebudzenie przez łagodne promienie słoneczne. Nie da się dokładnie określić, kiedy miękkie słoneczne światło zaczyna przedzierać się delikatnie przez zamknięte powieki i pobudzać mózg, ale w którymś momencie to robi i wtedy otwieramy oczy – i w jakiś sposób chłód nocy zostaje zastąpiony przez ciepło nowego poranka.

To jednak nie moje prezbiteriańskie wychowanie mnie przekonało, a prawda odwiecznej obecności i mocy, które dopiero zacząłem dostrzegać. W końcu zacząłem wykształcać w sobie oczy duchowe.



Dotąd Cię znałem ze słyszenia, obecnie ujrzałem Cię wzrokiem... (Hi 42,5)

Dążność bowiem ciała prowadzi do śmierci, dążność zaś Ducha – do życia i pokoju. (Rz 8,6)

Bo Ty, Panie, każesz świecić mojej pochodni: Boże mój, oświecasz moje ciemności. (Ps 18,29)